

# Brązowy dzik

We Florencji, niedaleko placu del Granduca, znajduje się niewielka uliczka, która zowie się, jeśli się nie mylę, Porta Rossa. Tutaj, przed targiem warzywnym i zielonym, stoi brązowy dzik kunsztownej roboty; z jego pyska tryska czysta, świeża woda. Samo zwierzę już całkiem poczępniało od czasu, jedynie pysk lśni jak polerowany: wypolerowały go setki rąk biedaków, dzieci i dorosłych, którzy je obejmowali i podstawiali pod strumień wody swoje wyschnięte usta. Wystarczy tylko popatrzeć, jak jakiś ładny, półnagi chłopczyk obejmuje piękne zwierzę i przybliży swój świeży usteczka do jego pyska – prawdziwy obraz! Każdy, kto trafi do Florencji, bez trudności znajdzie to miejsce: wystarczy zapytać любого żebraka, a on natychmiast powie, gdzie znajduje się brązowy dzik.

Był wczesny zimowy wieczór; góry leżały całe w śniegu, lecz na niebie świecił księżyc, a księżyc we Włoszech świeci tak, że zamienia noc w dzień – nie gorzej niż nasze ciemne zimowe dni. Ale cóż ja mówię – nie gorzej! Nawet lepiej, bo tutaj świeci samo powietrze, a niebo jakby unosi się wyżej, podczas gdy u nas, na północy, ten zimny ołowiany dach – niebo – po prostu przygniata nas do wilgotnej ziemi, która wcześniej czy później przycisnie wieko naszej trumny.

W książęcym ogrodzie, w cieniu jodeł, gdzie nawet zimą kwitną tysiące róż, cały dzień siedział mały łachmaniarz. Chłopczyk mógłby posłużyć za żywy obraz Włoch: promieniał pięknnością, a jednocześnie był tak żałosny, tak nieszczęśliwy... Strasznie chciał jeść i pić, ale nikt nie dał mu dziś ani jednej monety. Tymczasem zrobiło się ciemno, ogród należało zamknąć i strażnik wyrzucił chłopca na zewnątrz. Długo stał biedaczek, zamyślony, na moście przerzuconym przez Arno, i patrzył na gwiazdy błyszczące w wodzie.

Potem skierował się ku brązowemu dzikowi, schylił się, objął swoją rączką jego szyję i, przybliżając usteczka do jego lśniącego pyska, zaczął łapczywie połykać świeżą wodę. Tuż obok leżało kilka listków sałaty i papa kasztanów – posłużyły mu za kolację. Na ulicy nie było żywej duszy, chłopiec był zupełnie sam, więc usiadł na brązowym dziku, skłonił swoją kręcatą główkę na głowę zwierzęcia i w mgnieniu oka zasnął.

O północy brązowy dzik poruszył się, a chłopiec wyraźnie usłyszał: „Trzymaj się mocno, maluchu, teraz pobiegnę!” I dzik rzeczywiście ruszył z chłopcem pełnym galopem. Ależ to była jazda!

Przede wszystkim skierowali się na plac del Granduca; brązowy koń na książęcym pomniku głośno zarżał; kolorowe herby na starym ratuszu rozświeciły się jak transparenty, a Michał Aniołowy Dawid zamachnął się procia; wszędzie budziło się jakieś dziwne życie. Brązowe grupy „Perseusz” i „Porwanie Sabinek” stały jak żywe; krzyk śmiertelnego przerażenia rozległ się po wspaniałym, opustoszałym placu.

Przy Pałacu Uffizi, pod arkadą, gdzie podczas karnawału zbiera się cała florencka arystokracja, brązowy dzik zatrzymał się.

- Trzymaj się mocno! - powiedział do chłopca. - Teraz marsz po schodach w górę!

Chłopczyk przez cały ten czas nie wypowiedział ani słówka, drżąc ze strachu i z radości. Oto weszli do długiej galerii; chłopiec dobrze ją znał: bywał tu już wcześniej. Ściany mieniły się obrazami, wszędzie stały popiersia i posągi, oświetlone cudownym światłem; zdawało się, że panuje tu jasny dzień. Ale jeszcze lepiej zrobiło się, gdy otworzyły się drzwi do bocznych sal! Całe to bogactwo było dobrze znane chłopcu, lecz tym razem wszystko ukazało mu się w jakimś szczególnym, cudownym oświetleniu.

Oto przed nim przepiękna naga kobieta - takie doskonałość natury mogła zostać odwzorowana w marmurze tylko dzięki sztuce niezrównanego artysty. Jej cudowne formy oddychały życiem, u jej stóp igrały delfiny, nieśmiertelność błyszczała w jej spojrzeniu. Ludzie nazywają ją Wenus Medycejską. Po obu stronach bogini rozmieszczono marmurowe posągi cudownych młodzieńców: jeden ostrzył miecz - nazywają go „Ostrzycielem”; na innym postumencie gladiatorzy walčili ze sobą. I miecz był ostrzony, i zapaśnicy walczyli dla bogini piękna.

Cały ten blask niemal oślepił chłopczyka; ściany jaśniały wielobarwnymi farbami; wszystko było - samym życiem, samym ruchem. Było tu jeszcze jedno przedstawienie Wenery, ziemskiej Wenery, pełnej życia i ognia, jaką widział ją Tycjan. Tak, były to dwa cudowne kobiece obrazy! Piękne, niczym nieodsłonięte ciało Wenery Tycjana spoczywało na miękkim łożu; jej pierś cicho się unosiła, głowa lekko się poruszała, bujne włosy spadały na okrągłe ramiona, a ciemne oczy płonęły namiętnością. Żaden jednak z obrazów nie odważył się całkowicie wystąpić z ram. Sama bogini piękna, gladiatorzy i ostrzyciel również pozostali na swoich miejscach: skrepiwało ich światło płynące od wizerunku Madonny, Jezusa i Jana. Święci przestali być obrazami, stali się już samymi świętymi!

Cóż za piękno, cóż za blask panowały w tych salach! Brązowy dzik obszedł je krok za krokiem, a chłopiec zobaczył wszystko. Jedno widowisko wypierało z pamięci inne, lecz jeden obraz pozostawił w jego duszy niezatarty ślad, głównie dzięki

przedstawionym na nim radosnym, szczęśliwym dzieciom; chłopiec widział je już raz za dnia.

Wielu przeszłoby może obok tego obrazu, a przecież jest to prawdziwy skarbczyk poezji. Przedstawia on Chrystusa schodzącego do otchłani, lecz wokół niego tłoczą się nie umęczeni grzesznicy, lecz poganie. Obraz namalował Florentczyk Angelo Bronzino. Najlepsze w nim – wyraz na twarzach dzieci, pełnych twierdzącej pewności, że wstąpią do nieba. Dwoje maluchów już się wzajemnie obejmuje; jedno, stojące wyżej, wyciąga ręce ku temu, które stoi niżej, wskazując przy tym palcem na siebie samego, jakby mówiąc: „Ja idę do nieba!” Na twarzach dorosłych natomiast maluje się bojaźliwa, niepewna nadzieja i pokorna błagalność.

Na ten obraz chłopiec patrzył najdłużej; brązowy dzik stał nieruchomo i nagle dał się słyszeć cichy westchnienie. Skąd się wydobyło? Z obrazu czy z piersi zwierzęcia? Chłopiec wyciągnął rękę ku uśmiechniętym dzieciom, lecz dzik pomknął z powrotem do przedsionka.

– Dziękuję ci, miły, dzielny dziczku! – powiedział chłopczyk i pogładził zwierzę, które – tup, tup! – zbiegało po schodach w dół.

– I tobie dziękuję! – rzekł dzik. – Pomogłem tobie, a ty pomogłeś mnie: mogę się poruszać tylko wtedy, gdy siedzi na mnie niewinne dziecko. Wtedy mogę nawet przechodzić pod promieniami lampy gorejącej przed wizerunkiem Madonny. Wszędzie mogę wchodzić z tobą, tylko nie do kościoła! Lecz patrzenie tam przez otwarte drzwi nie jest mi zabronione! Nie schodź ze mnie! Jeśli zejdziesz, stanę się taki sam martwy, nieruchomy, jakim widziałeś mnie za dnia w uliczce Porta Rossa.

– Nie opuszczę cię, miły dziku! – powiedział chłopiec i wirującym pędem pomknęli ulicami na plac, do kościoła Santa Croce.

Ogromne wejściowe drzwi się otwarły; na ołtarzu paliły się świece, tak że w kościele, a nawet na opustoszałym placu, było jasno.

Z nagrobka umiejscowionego w lewej nawie kościoła sączyło się jakieś dziwne światło, jakby wokół utworzyła się poświata z setek tysięcy ruchomych gwiazd. Na nagrobku widniał herb: czerwona, jakby płonąca w ogniu, drabina na błękitnym polu. Był to grób Galileusza; bardzo prosty, zaś herb pełen głębokiego znaczenia. Mógłby służyć za herb samego sztuki lub nauki: ich przedstawicieli również prowadzi do nieśmiertelności płonąca drabina; wszyscy prorocy sztuki i nauki, naznaczeni darami Ducha, wstępują do nieba, jak prorok Elias.

Wizerunki umieszczone na marmurowych sarkofagach w prawej nawie kościoła zdawały się wszystkie ożyć. Tu stał Michał Anioł, tam – Dante z wawrzynowym wieńcem na czole, tutaj – Alfieri, Machiavelli – wszędzie wielcy mężowie, duma

Włoch (Niedaleko grobu Galileusza znajduje się grób Michała Anioła; na nim – jego popiersie i trzy alegoryczne przedstawienia: Rzeźba, Malarstwo i Architektura. Obok – grób Dantego (jego ciało spoczywa w Rawennie); na nim widoczna jest figura Italii, wskazująca na kolosalny posąg Dantego; tuż obok Poezja opłakuje poniesioną stratę. O dwa kroki dalej – nagrobek Alfieriego, ozdobiony wawrzynami, lirą i maskami; nad grobem płacze Italia. Grób Machiavellego kończy ten szereg pomników wielkich ludzi Włoch. – Przypis autora.). Kościół Santa Croce jest wspaniały, dużo piękniejszy, choć nie tak wielki, jak marmurowa florencka katedra.

Fałdy marmurowych szat poruszały się, a same wizerunki wielkich ludzi podnosiły głowy i

wzrok ku błyszczącemu ołtarzowi, skąd dochodziło śpiewanie i gdzie chłopcy w śnieżnobiałych szatach kadzili złotymi kadzielnicami; silny zapach unosił się z kościoła na plac.

Chłopiec wyciągnął rękę ku jasnej poświacie, lecz w tej samej chwili brązowy dzik pomknął dalej i chłopiec musiał mocno przytulić się do szyi zwierzęcia. Wiatr świstał mu w uszach, drzwi katedry z wizgiem się zamknęły; wtedy świadomość opuściła chłopca, śmiertelny chłód ogarnął jego członki i – otworzył oczy.

Był już poranek; siedział pólleżąc, prawie całkiem zsunąwszy się z grzbietu dzika, który stał, jak zawsze, na swoim zwykłym miejscu.

Przerażenie ogarnęło chłopca na samą myśl o tej, którą nazywał matką. Posłała go wczoraj po jałmużnę, lecz nikt nic mu nie dał; głód dręczył biedaka. Jeszcze raz objął dzika, pocałował go w pysk, skinął mu głową i skierował się do jednej z najwęższych ulic, gdzie ledwo mógł przejść osioł obładowany ładunkiem. Następnie chłopiec wszedł przez uchylone, okute żelazem drzwi i zaczął wspinać się po brudnej, ceglanej klatce schodowej z liną zamiast poręczy. Schody prowadziły na otwartą galerię, całą zawieszoną łachmanami; z galerii na dziedziniec prowadziły inne schody; pośrodku dziedzińca znajdowała się studnia, od której do wszystkich pięter poprowadzono grube, żelazne druty, a po nich co chwila poruszały się wiadra z wodą; kołowrót skrzypiał, a woda z wiader chlustała na bruk dziedzińca. Po wąskich, na wpół zrujnowanych, ceglanych schodkach chłopiec wspiął się jeszcze wyżej; naprzeciw niemu wesoło zbiegały po stopniach dwóch rosyjskich marynarzy i prawie strącili malca z nóg. Wracali z wesołej nocnej uczty; za nimi szła niemłoda, lecz krzepko zbudowana kobieta o gęstych, czarnych włosach.

– Wiele przyniosłeś? – zapytała chłopca.

– Nie gniewaj się! – błagał. – Nikt nic mi nie dał!

I chwycił się za brzeg sukni matki, jakby pragnąc ją pocałować. Weszli do pokoju; opisywać go nie będziemy; wystarczy powiedzieć, że stał tam gliniany garnek z gorącymi węglami – ogrzewacz, czyli marito, jak go nazywają we Włoszech. Kobieta wzięła go i zaczęła grzać sobie ręce.

– Czy jednak coś przyniosłeś? – zapytała, szturchając chłopca łokciem.

Dziecko zapłakało; ona kopnęła je nogą; ono głośno zawyło.

– Cicho, bo rozwalę twoją wrzeszczącą głowę! – powiedziała i zamachnęła się na niego ogrzewaczem.

Chłopiec z krzykiem padł na ziemię. Drzwi się otworzyły i weszła sąsiadka, również z ogrzewaczem w rękach.

– Felicità! Co ty robisz z dzieckiem?

– To moje dziecko! – odpowiedziała Felicità. – Mogę je zabić, jeśli zechcę, i ciebie razem z nim, Gianino!

I zamachnęła się ogrzewaczem. Sąsiadka podniosła swój w obronie i garnki zderzyły się – odłamki, węgle i popiół rozleciały się po całym pokoju, a chłopiec – za drzwi, na dziedziniec i na ulicę! Biedne dziecko biegło, aż zabrakło mu tchu, i mimowoli zatrzymało się przy kościele Santa Croce, przy tym samym, w którym był dziś w nocy. Kościół cały lśnił w światłach; wszedł, upadł na kolana przy pierwszym grobowcu po prawej – był to grobowiec Michała Anioła – i głośno zapłakał. Ludzie przychodzili i odchodzili, msza się skończyła, nikomu nie było sprawy do chłopca; tylko jakiś starszy mieszczanin zatrzymał się na chwilę i popatrzył na niego, ale potem i on poszedł swoją drogą, jak inni.

Dziecko zupełnie osłabło z głodu i pragnienia, wczołgało się w kąt między ścianą a marmurowym grobowcem i zasnęło. Obudziło się dopiero pod wieczór – ktoś je potrząsnął; wstało i ujrzało przed sobą tego samego starca.

– Źle się czujesz? Gdzie mieszkasz? Cały dzień tu jesteś? – zasypał chłopca pytaniami.

Chłopiec odpowiedział, a starzec zaprowadził go do małego domku przy jednej z bocznych ulic niedaleko kościoła. Weszli do pracowni rękawicniczej: starsza kobieta pilnie szyła, a po stole przed nią skakała mała, biała bolonka, ostrzyżona tak krótko, że przez sierść prześwitywało różowe ciało. Bolonka rzuciła się do chłopca.

– Niewinne dusze żywo rozpoznają się nawzajem! – powiedziała kobieta i pogłaskała pieska oraz dziecko.

Dobrzy ludzie, nakarmiwszy i napoiwszy chłopca, pozwolili mu przenocować u siebie, a następnego dnia wujek Giuseppe chciał porozmawiać z matką malca.

Dziecko położono na małym, ubogim łóżku, ale wydało mu się ono książęce: przywykł bowiem spędzać noce na twardych kamieniach bruku. Spokojnie zasnął i śnił mu się przepych obrazów oraz brązowy dzik.

Rano wujek Giuseppe wyszedł, a biedny malec zasmucił się: sprawa skończy się tym, że odprowadzą go do matki! I płakał, całując białego, żywego pieska, a dobra kobieta łagodnie kiwała im głową.

No cóż, z czym wrócił wujek Giuseppe? Długo rozmawiał z żoną; ta aprobowo kiwała głową i głaskała chłopca po główce, mówiąc:

– Taki miły chłopiec! Wyrośnie z niego świetny rękawicznik, nie gorszy od ciebie! Ma takie delikatne, gibkie palce! Sama Madonna przeznaczyła go na rękawicznika!

I chłopiec został u nich. Żona rękawicznika uczyła go szyć; karmiono go dobrze, spał znakomicie i stał się wesołym, żywym chłopcem, który nieraz lubił psocić i drażnić Bellissimę – tak nazywała się suczka; lecz gospodyni groziła mu palcem, łajała i gniewała się, co bardzo smuciło chłopca. Pewnego razu siedział zamyślony w swojej komórcie, w której suszyły się skóry; okna wychodzące na ulicę były ogrodzone grubymi kratami; chłopiec nie mógł spać: brązowy dzik nie schodził mu z myśli, i nagle usłyszał na ulicy: stuk! stuk! To pewnie dzik! Chłopiec rzucił się do okna, lecz ulica była już pusta.

– Pomóż panu, weź skrzynkę z farbami! – powiedziała pewnego ranka gospodyni, ujrawszy młodego sąsiada-malarza, który niósł skrzynkę i płótno nawinięte na kij.

Chłopiec wziął skrzynkę i poszedł za malarzem. Udali się do galerii obrazów i weszli po tych samych schodach, które chłopiec tak dobrze pamiętał z owej nocy, gdy jeździł na dziku; rozpoznał wszystkie posągi i obrazy, cudowną marmurową Wenerę, Madonnę, Jezusa i Jana.

Oto zatrzymali się przed obrazem Bronzina, na którym przedstawiono Chrystusa zstępującego do otchłani i otoczonego uśmiechniętymi dziećmi, mocno wierzącymi w swoje zbawienie; biedny chłopiec również cały rozpromienił się uśmiechem – sam czuł się jak w niebie.

– No, idź już sobie! – powiedział mu malarz, który zdążył już ustawić swoją sztalugę.

– Czy nie mógłbym popatrzeć, jak przeniesiecie obraz tutaj, na to białe płótno? – zapytał chłopiec.

- Teraz jeszcze nie będę malował farbami! - odpowiedział malarz i wziął węgiel rysunkowy.

Szybko poruszyła się jego ręka, oczy wpiły się w wielki obraz i, mimo że robił jedynie cienkie kreski, na płótnie pojawił się ten sam eteryczny wizerunek Chrystusa, co na obrazie malowanym olejnymi farbami.

- No, idź już! - powiedział znów malarz, a chłopiec cicho powlókł się do domu, usiadł przy stole i zaczął się uczyć... szyc rękawiczki.

Lecz myśli jego leciały do galerii obrazów, kłuł sobie igłą palce, praca nie szła, zato też Bellissimy już więcej nie drażnił. Wieczorem chłopiec wymknął się przez otwarte drzwi na ulicę; było zimno, lecz na niebie świeciły cudne, jasne gwiazdki. Pobiegł bezgłośnymi ulicami prosto do brązowego dzika, nachylił się nad nim, pocałował go w błyszczący pysk, potem usiadł mu na grzbiecie i powiedział:

- Jakże stęskniłem się za tobą, miły dziku! Musimy znów przejechać się dziś w nocy!

Brązowy dzik nie drgnął, z jego pyska nadal tryskał strumień czystej, świeżej wody. Chłopiec siedział na nim jak jeździec na koniu, gdy nagle ktoś pociągnął go za brzeg sukni. Spojrzał i ujrzał Bellissimę, małą, gołą Bellissimę! Suczka również niezauważenie wymknęła się przez drzwi i podążała za chłopcem. Bellissima szczełała, jakby chciała powiedzieć chłopcu: „I ja tu jestem! A ty dokąd to się wybrałeś?” Gdyby przed chłopcem stanął ognisty smok, biedak nie bałby się go bardziej niż Bellissimy. Bellissima na ulicy i „nie ubrana!”, jak powiedziałyby gospodyni. Cóż teraz będzie? Zimą pieska nigdy nie wypuszczano z domu bez ciepłej, specjalnie dla niej uszytej, owczej derki. Owczyna ozdobiona była dzwoneczkami i kokardkami, a przywiązywano ją do szyjki i pod brzuszkiem czerwonymi wstążeczkami. Towarzysząc w takim stroju swojej pani na spacerze, suczka wyglądała jak mały, sepleniący nóżkami baranek.

„Bellissima jest tutaj i to naga! Co teraz będzie?” Wszystkie marzenia prysnęły, chłopiec pocałował brązowego dzika, porwał Bellissimę - biedactwo drżało z zimna - i pobiegł do domu, co sił w nogach.

- Co ty masz? Gdzie biegniesz? - krzyknęli dwaj żandarmi, których spotkał po drodze; Bellissima zaczęła szczełać.

- Gdzieś ukradł takiego ślicznego pieska? - zapytali i zabrali go chłopcu.

- Ach, oddajcie mi pieska! - błagał maluch.

- Jeśliś go nie ukradł, powiedz w domu, żeby ktoś przyszedł po niego na wartownię.

I odeszli z Bellissimą.

Otóż to nieszczęście! Co miał począć: rzucić się do Arno czy iść do domu z przyznaniem się do winy? Gospodarze oczywiście zbiją go na śmierć! „No i cóż, sam chcę umrzeć; pójdę wtedy do Jezusa i Madonny!” I poszedł do domu, głównie po to, by umrzeć.

Drzwi były zamknięte; nie mógł dosięgnąć kołatki; na ulicy nie było żywej duszy, lecz na bruku leżał głaz kamienia i chłopiec zaczął nim tłuc w drzwi.

- Kto tam? – rozległo się wołanie.

- To ja! – powiedział. – Bellissimy nie ma! Otwórzcie mi i bijcie mnie na śmierć.

Zrobiło się zamieszanie; szczególnie przestraszyła się o biednego pieska gospodyni; natychmiast spojrzała na ścianę, gdzie wisiała kocyk pieska: owcza skórka była na miejscu.

- Bellissima jest na wartowni! – zawołała. – Ach ty, niegodziwy chłopcze! Jakżeś ją wywabił? Ona zamarznie! Tak delikatne stworzonko w grubiańskich rękach żołnierzy!

I wujek Giuseppe musiał udać się po pieska. Gospodyni jęczała, a chłopiec płakał; zbiegli się wszyscy sąsiedzi, przyszedł też malarz. Przyciągnął do siebie malucha, zaczął wypytywać, jak to się stało, i jakoś, fragmentami i urywkami, dowiedział się całej historii o brązowym dziku i o galerii obrazów. Nie od razu można było zrozumieć malucha.

Malarz pocieszał chłopca i wstawiał się za nim przed staruchą, lecz ta uspokoiła się dopiero wtedy, gdy wujek Giuseppe wrócił z Bellissimą, która była u żołnierzy. Ależ to była radość! Malarz pogłaskał biednego malucha i dał mu cały stos obrazków.

Obrazki były cudowne, prześmieszne! Szczególnie dobry był brązowy dzik – zupełnie jak żywy! Lepiej już być nie mogło! Malarz zrobił kilka kresek ołówkiem i na papierze pojawił się brązowy dzik, i to nie tylko on, ale także dom znajdujący się za nim!

„Gdyby tak umieć tak rysować i malować farbami! Cały świat stałby się moim! Wszystko można by przenieść na papier!”

Następnego dnia, wykorzystując chwilę, gdy został sam, chłopiec chwycił ołówek i spróbował narysować dzika na odwrocie jednego z obrazków. Udało się! Trochę krzywo, trochę skośnie, jedna noga grubsza od drugiej, ale jednak można było domyślić się, że to brązowy dzik.

Chłopiec triumfował! Prawda, ołówek jeszcze źle mu służył – doskonale to zauważał. Lecz następnego dnia obok pierwszego brązowego dzika stał drugi; ten był już sto razy lepszy, trzeci zaś tak dobry, że każdy od razu rozpoznałby, z kogo został narysowany.

Za to szycie rękawiczek szło źle, źle i powoli wykonywane były różne drobne polecenia gospodarzy. Dzięki brązowemu dzikowi chłopiec dowiedział się, że na papier można przenieść każdy obraz, a miasto Florencja to prawdziwy album, tylko go przewracaj! Na placu della Trinità stoi smukła kolumna; na samym jej szczycie – bogini sprawiedliwości z zawiązanymi oczami i wagami w rękach; wkrótce i ona trafiła na papier, przeniósł ją tam uczeń rękawicznika. Kolekcja rysunków ciągle rosła, lecz wszystko to były dotychczas przedstawienia przedmiotów nieożywionych. Pewnego razu Bellissima podskoczyła przed nim, a on powiedział do niej:

– Stój nieruchomo! Zobaczysz, jaka ładna wyjdiesz na obrazku!

Bellissima jednak nie chciała stać nieruchomo i trzeba było ją związać. Lecz nawet związana za ogon i za głowę, wciąż skakała i szczekała; trzeba było mocno zaciągnąć sznurek. Nagle weszła signora.

– Bezbożny chłopcze! Biedny piesku! – to wszystko, co zdołała wymówić.

Potem odepchnęła chłopca, kopnęła go nogą i wyrzuciła niewdzięcznego bezbożnika z domu, obsypując pocałunkami i łzami biedną, wpółzduszona Bellissimę.

W tym czasie po schodach wchodził malarz i – oto punkt zwrotny naszej historii.

W roku 1834 we florenckiej Akademii Sztuk Pięknych odbywała się wystawa. Dwa obrazy, stojące obok siebie, przyciągały tłumy widzów. Na mniejszym obrazie przedstawiony był wesoły maluch, który rysował małego, białego, krótko ostrzyżonego pieska.

Modelka, widocznie, nie chciała stać nieruchomo i dlatego została przywiązana do stołu za ogon i za głowę sznurkiem. Życie tryskało z tego obrazu keyłem i wszyscy byli nim zachwyceni. Obraz należał, jak mówiono, do pędzla młodego florentczyka, znalezione go gdzieś na ulicy jeszcze jako dziecko, wychowanego przez starego rękawicznika i samodzielnie nauczywszy się rysować. Pewien słynny obecnie malarz przypadkowo odkrył jego talent, gdy malucha wyrzucano z domu za to, że chcąc narysować ulubienicę pani domu – pieska, związał go i niemal udusił.

Z ucznia-rękawicznika wyrósł wielki malarz – o tym świadczył wspomniany obraz, a zwłaszcza ten większy, który znajdował się obok. Była na nim tylko jedna postać:

przepiękny, obdarty maluch spał twardo, siedząc na brązowym dziku z zaułka Porta Rossa (Brązowy dzik – kopia; oryginał zaś jest marmurowy i stoi w galerii Palazzo degli Uffizi. – Przypis autora.).

Wszystkim widzom dobrze znane było to miejsce. Ręce chłopca spoczywały na głowie dzika. Miła, blada dziecięca twarzyczka była jasno oświetlona promieniami lampy wiszącej przed obrazem Madonny. Obraz był cudowny! Na rogu wspaniałej złotej ramy zawieszono wieniec laurowy, lecz wśród zielonych liści wiła się czarna wstęga i czarny krep.

Młody malarz niedawno temu zmarł.